Nr. 104. We Lwowie — Niedziela dnia 14. Kwietnia 1895. Rok XXXV.

Przedpłata wynosi: We Lwowie: miesięcznie zł. 1·50, kwartalnie zł. 4·50, półrocznie zł. 9. Prenumeratorowie miejscowi, składający przedpłatę bezpośrednio w administracyi Gaz. Nar., mają nadto prawo bezpłatnego wypożyczania książek z czytelni H. Altenberga (dawniej F. H. Richtera). Na prowincyi z przesyłką pocztową: miesięcznie zł. 2, kwartalnie zł. 6, półrocznie zł. 12. Za granicą kwartalnie zł. 7·50, półrocznie zł. 15. Prenumeratorowie Gaz. Nar. mogą otrzymywać tygodnik humorystyczny SZCZUTEK za dopłatą: miesięcznie 35 ct., kwartalnie 1 zł. — a BIBLIOTEKĘ POWIEŚCIOWĄ GAZETY NARODOWEJ, wychodzącą w piątki zeszytami, za dopłatą miesięcznie 40 ct., kwartalnie 1 zł. 10 ct.

Numer kosztuje 6 ct.

GAZETA NARODOWA

wychodzi w dwóch wydaniach: dla Lwowa o godzinie 8 rano — dla prowincyi o godzinie 7 wieczorem.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ przyjmują: we Lwowie Administracya Gazety Narodowej ul. Karola Ludwika l. 3; w Paryżu: C. Adam Ciborowski) 38 rue de Varenne Paris; we Wiedniu: Hassenstein & Vogler (Otto Mass) Wallfischgasse 10 — Rudolf Mosse Seilerstädte 2, — A. Oppelik Grünergasse 12, — M. Dukes Wollzeile 6, — Schallek Wollzeile 11 i J. Danneberg, I. Wollzeile 19; w Hamburgu: A. Steiner; w Frankfurcie n. M. Hassenstein & Vogler i G. L. Daube & Comp. w Warszawie: Reichman & Frendler.

CENA OGŁOSZEŃ: Ogłoszenia zwyczajne za jednoszpaltowy wiersz drobnym drukiem lub jego miejsce 10 ct. Nadesłane za wiersz lub jego miejsce 30 ct. Głosy publiczności za wiersz lub jego miejsce 50 ct. Prywatna korespondencya 3 ct. od wyrazu. Karty korespondencyjne dla drobnych ogłosz 30 ct.

Biura redakcyi: ul. Kopernika 7, I. piętro otwarte od 10—12 rano i od 4—5 wieczorem.

Redaktor: Dr. ALEKSANDER VOGEL.

Biura administracyi: ul. Karola Ludwika 3 (sklep) otwarte od godz. 9 rano do 7 wieczorem bez przerwy.

Alleluja! Chrystus woskrese!

Lwów d. 14. kwietnia.

Wszystkie wyznania chrześcijańskie obchodzą dziś święto Zmartwychwstania Chrystusa. — święto zwycięstwa światła nad ciemnością, miłości, idei powszechnego braterstwa ludzi, swobody nad niewolą wszelaką...

Słońce wiosenne opromienia to piękne święto. W kościołach rozbrzmiewa starodawna pieśń: „Wesoły nam dziś dzień nastał!“ — gdy cerkiew wschodnia intonuje radośnie: „Chrystos woskrese!“ — jako hymn nadziei dla żywych i zapowiedź życia dla umarłych. W całej przyrodzie czuć budzące się życie nowe. Pękły zimy okowy,—zmartwychwstaje cała przyroda!

A ludzie?

Ludziska cieszą się wiosną, radośnie obchodzą wiosenne święto, ale zazwyczaj bardzo mało lub wcale nie zastanawiają się nad jego znaczeniem. Wszystko to, co utrzymuje w ludzkości zawiść plemienną i rasową, co jest krzywdą i niewolą braci wobec braci, pielęgnują wytrwale, pomimo, że już dziewiętnaście wieków upływa, gdy Chrystus założył królestwo Boże na ziemi...

Oto jeszcze nie przebrzmiały w Niemczech hymny pochwalne na cześć starego arcymistrza religii, której dogmatem fundamentalnym jest zasada: „Siła przed prawem!“ — który zawiść plemienną, zabór własności słabszego przez mocniejszego — tylko na tej podstawie prawnej, iż jest on mocniejszym, preleguje pielgrzymującym do niego rzeszom, jako najwyższe zadanie polityki narodowej.

W innych znów krainach miliony braci naszych również doznają krzywdy i ucisku przez przemoc wrogą — wywieraną na nich w imię słowiańskiej idei przymusowego braterstwa. Zdawało się na chwilę, że może doznają w tym ucisku ulgi. Lecz jakoś bardzo pomało zanosi się na zmianę srogiego systemu, który ma nagiąć ich karki w jarzmo owego „braterstwa“.

Gdy rzucimy okiem na całą ludzkość współczesną, musimy zauważyć przedewszystkiem straszliwe zbrojenia się jednych państw przeciwko drugim, jednych narodów przeciwko drugim. Czyż to miałoby być ostatnim wyrazem chrześcijańskiej cywilizacyi? — Wprawdzie teraz wchodzi w modę zapewniać ustawicznie, że te ogólne zbrojenia, które wszystkie państwa przygniatają brzemieniem ciężkich ofiar, nie mają nic innego na celu, jak tylko zabezpieczenie pokoju — ale to ich ciężaru nie zmniejsza, ani grozy nie pozbawia.

I gdy cały szereg nierozwikłanych zagadnień politycznych wymaga utrzymywania w pogotowiu milionowych armij i flot olbrzymich, ażeby z dnia na dzień powstrzymywać wybuch międzynarodowych nieporozumień, podnosi wszędzie głowy w pośród tych uzbrojeń, poświęconych celom politycznym, hydra przeciwnego im ruchu socyalnego. Ruch ten nie uzbraja narody przeciwko narodom i granice państw są mu obojętne. On zna tylko klasy społeczne. Przechodząc do porządku dziennego nad tradycyą dziejów dotychczasowych, dąży do ideałów powszechnego pokoju — ale pokoju opartego na negacyi tych ideałów, które dotąd były sprężyną poruszającą ludzkość do wielkich czynów. Jak najdalej sięgające zadowolenie sobkowstwa jednostek jest celem tych dążności, a ostatnim ich wyrazem — anarchia.

Lecz Opatrzność czuwa. Po nad wszystkie męty ludzkich zawiści i zawistek, zazdrości i zawziętości, występujących pod tą lub ową nazwą, wznoszą się w spokojnym majestacie te odwieczne prawdy moralne, które zawsze prowadziły ludzkość na drogę rzetelnego uobyczajenia uszlachetniającego postępu — na drogę rzetelnego braterstwa i pokoju. Są to Boskie zasady chrześcijaństwa. Jak w przyrodzie ciepłe ożywcze promienie wiosny, tak zasady chrześcijaństwa, budzą w społeczeństwie ludzkiem spętane przesądami i sobkostwem poczucie sprawiedliwości, ducha poświęcenia dla celów szczytnych, poszanowanie prawa i ładu.

Wielkanoc, to arcyświęto chrześcijańskie — pamiątka zwycięstwa Zbawiciela nad śmiercią. Wlewa ona nadzieję zwycięstwa w serca wszystkich, kto doznaje krzywdy i ucisku, kto cierpi pod przemożną ręką siły, nie oglądającej się na prawo miłości chrześcijańskiej.

Alleluja!

Pocztowa kasa oszczędności jako zakład kredytowy.

Lwów d. 13. kwietnia.

Na wniosek rządu uchwaliła Rada państwa, aby 5 mil. zł., potrzebnych na zakupienie telefonu wiedeńskiego na rzecz państwa, pożyczono z pocztowej kasy oszczędności na 4 prc. z 20 letniem umorzeniem. Dawniej w tego rodzaju wypadkach rząd zaciągał pożyczki w prywatnych kasach oszczędności lub bankach, nie dziw przeto, że wielkie dzienniki wiedeńskie, stojące na żołdzie giełdy, banków i bankierów, z pasyą uderzyły na ten „pierwszy wypadek“ wyłamania się rządu z ich opieki wcale nie bezinteresownej. Wołają one, że instytut taki, jak pocztowa kasa oszczędności, powinien zawsze mieć fundusze zmobilizowane na wypadek popłochu finansowego, że ważną tę zasadę poświęcono dla oszczędzenia mizernego ćwierć procentu itp.

Tymczasem niewiadomo, czyby rząd od strony prywatnej, tj. banku, otrzymał pożyczkę na $4^1/_4$ a nawet na $4^1/_2$ prc., a oszczędność jest zawsze oszczędnością. Z drugiej strony wobec sumy 90,476.000 zł., którą poczt. kasa oszczędności wedle wykazu z lutego ma w obrocie (przeszło 40 mil. w obrocie oszczędnościowym a przeszło 50 mil. w czekowym) kwota owych 5 mil. wynosi zaledwo $5^1/_2$%, gdy reszta jest ulokowana w contocorrentach u banków, w bonach salinarnych itp. walorach, które każdego czasu łatwo można zrealizować. Zapewne też menerom bankowym nie chodzi o ową „odrobinę“ 5 mil. zł., ale obawiają się oni, że ten wypadek jest dopiero pierwszym, że za nim pójdą inne, daleko donioślejsze.

Już bowiem podnoszą się głosy, aby pocztowa kasa oszcz. znaczną część swego *saldo*, za pośrednictwem państwa obracała na cele socyalno-polityczne, mianowicie na uzdrowienie kredytu rustykalnego i procederowego, przez wyposażenie państwowego Banku assocyacyjnego, udzielanie pożyczek kasom raiffeisenowskim, eskontowanie weksli stowarzyszeń rustykalnych i procederowych itp. Zresztą słychać już, że w ministerstwie skarbu zastanawiają się nad zamienieniem pocztowej kasy oszcz. na bank państwowy, co tem bardziej jest prawdopodobnem, że minister skarbu Plener na posiedzeniu Izby posłów z d. 16. marca napomknął, iż rewizya ustawy o pocztowej kasie oszcz. jest zamierzoną. Przez „drobnych“ żydów, wyzyskujących chłopa, rękodzielnika itd., otrzymuje giełda i świat bankowy owe sumy, któremi ujarzmiła całe społeczeństwo. A to źródło nieszczęścia społecznego w znacznej mierze zatamować można drogą właśnie co wskazaną.

I rzecz to wcale nie nowa — namacalny przykład daje belgijska pocztowa kasa oszczędności. Wedle wykazu urzędowego za r. 1893, w tej małej Belgii stoi przeszło 6000 gmin i zakładów publicznych z poczt. kasą oszczędności w stosunku *conto-corrente* (rachunek bieżący) na sumę roczną 58 mil. franków. Kasa ta na zastaw papierów walorowych dała prawie 4.000 pożyczek na nizki procent w sumie 38 mil. fr., pomiędzy temi 884 pożyczek niżej 1.000 franków. Rolnikom dała pożyczek na sumę 431.000 fr., na budowę domów dla robotników 5 mil. pięćset tysięcy fr. Tego w Austryi pocztowa kasa oszczędności nie czyni, a aby czyniła, sama dobra wola wystarczy.

Ale daleko więcej może uczynić austryacka pocztowa kasa oszczędności. Może włościanom otworzyć kredyt osobisty przez zorganizowanie instytutów krajowych z assocyacyjnemi stowarzyszeniami powiatowemi; może uregulować kredyt osobisty dla rękodzieł przez zakładanie assocyacyj kredytowych, — w jednym i drugim wypadku mogłaby austryacka pocztowa kasa oszczędn. — jak to już jej twórca Coch zamierzał — służyć za środowisko i czynnik pieniężny. Może uprościć cały obrót kas państwowych; może służyć za zbiorową kasę i centrum administracyjne dla wszelkiej po rozmaitych urzędach złożonej gotówki, podatków, ceł, tak, iżby państwo żadnej straty na procentach nie poniosło. A już wcale olbrzymio rozwinąłby się obrót czekowy poczt. kasy oszczędn., gdyby wszystkie kasy rządowe w niej miały swoje konta i jakiemiby wtedy sumami poczt. kasa oszczędn. mogła rozporządzać dla pomagania rolnictwu i rękodziełom! Z czasem, zapomocą poczt. kasy oszczędn., mogłoby się państwo zupełnie oswobodzić od kaprysów spekulantów wielkich i małych, coraz bardziej ograniczyć a w końcu złamać nieszczęsną potęgę tych pijawek, państwo wysysających.

Jeżeli się pocztowa kasa oszczędności rozwinęła, to tylko temu zawdzięcza, że do obrotu oszczędnościowego dołączyła obrót czekowy, i tym sposobem zyski sobie przysporzyła i stała się ważnym czynnikiem społecznym. Cóż z tego jednak, kiedy wedle ustawy swojej z roku 1887 jest na każdym kroku spętana! Dopóki dawała 3 prc., posiadała wielu conco-correntystów, — gdy wedle owej ustawy 2 prc., jako procent maksymalny ustanowiono, od razu 5 mil. zł. z niej wycofano; i obecnie obrót czekowy zamiast setek milionów tylko 50 mil. zł. wynosi. Dzisiaj procent powszechny jest niski, ale może on nagle podskoczyć, a wtedy coraz więcej kapitałów wymknie się z pocztowej kasy oszczędności.

Po prostu, wielkie banki i ich przedstawiciele w Izbie posłów umieli w roku 1887 tak pokierować, że 2 prc. jako *maximum* ustanowiono — podczas gdy bankom prywatnym wolno każdego czasu podnosić procent. Chodzi więc o to, aby ustawę z roku 1887 zmieniono i pocztowej kasie oszczędności ręce rozwiązano...

Lihungczang a Polska.

Lwów 12 kwietnia.

Dziwne to, dziwaczne — ktoś powie — sprzężenie wyrazów: Lihungczang i Polska. A jednak nie jest to wymysł fantastyczny, — i obaczymy, że wyrazy te całkiem naturalnie się kojarzą.

Znakomity miesięcznik katolicki *Przegląd powszechny* podaje właśnie dalszy ciąg listów ks. Pawła Sapiehy z podróży po Wschodzie (obecnie „przez Chiny i Mongolię“) w r. 1889 odbytej. Materyalne zdobycze tej podróży, tj. etnograficzne i artystyczno-przemysłowe, — widzieliśmy na wystawie w byłym gmachu kasy oszczędności; moralne, że tak powiemy, podaje podróżnik w tych listach, pisanych widocznie tylko dla wiadomości rodziny, prawie „na dyszlu“ — ale nawskróś charakterystycznych, świeżych, głęboko wnikających w przyrodę, w ludzi i politykę, niekiedy z prawdziwym polotem poetyczuym a zawsze pouczających. Ale wracamy do rzeczy. Młody, żywy, ciekawy książe musiał naturalnie poznać się z Lihungczangiem (pisze go Li-Szung-Czao, jak się zapewne wymawia), wielkim wicekrólem, najdzielniejszym mężem stanu Chin, twórcą nowej armii i nowej floty chińskiej, twórcą kolei żelaznej, reformatorem Chin. Pod d. 21 czerwca 1889 pisze książę Paweł:

Tien-sin 21 czerwca.

„Wracam z audyencyi u wicekóla Li-Szung-Czao. Detring ofiarował mi się sam wyrobić tę audyencyę; naturalnie z radością przyjąłem. Jak we wszystkiem tak i w tem niesłychanie grzeczny i uprzejmy. Poczciwy Detring osobiście mi towarzyszył i za tłumacza służył. Wjazd nasz (w lektyce), *die Auffahrt*, podobny do tego, jakiśmy mieli w Kantonie, z tą różnicą, że zamiast policyi i wojska, które przed nami biegło, mieliśmy konnych z ogromnemi laskami bambusowemi, z przeznaczeniem liczenia kości nieusuwających się śmiałków. Na szczęście musiano dotychczas często owych pałek używać; lud, przechodnie, w pokornych postawach czekali naszego przejścia, już o 20 kroków przed nami ustępując w milczeniu. W ogóle musieliśmy mieć miny imponujące, bo pospólstwo, zresztą wrzeszczące, kłócące się lub śmiejące, przerywało zajęcia, zabawy, żarty lub nawet dyskusye za zbliżaniem kułaków do nosa interlokutora połączone, by w głuchem milczeniu *laissez passer* nasz pochód, na którego czele ja, dobrze schowany w swej lektyce, paradowałem.

Jedyny tubylec, nie znający etykiety i nieustępujący nam z drogi — to niestety smród. W końcu przynoszą nas przed wielkie wrota. Detring wysiada, mnie nie pozwalają. Czekamy, aż główne, wielkie wrota otwarto; jedynie przez te środkowe wolno osobie takiej godności, jak ja, wejść i wyjść. Nareszcie pozwalają mi wyleźć z tej szkatuły, wcale nie wesołej. Znowu Detring musi iść bocznemi drzwiami, mnie popychają formalnie przez wielkie wejście. Idziemy przez całą amfiladę krużganków; wszystko drzewo, wszystko ubogie, wszystko brudne. Styl, struktura podobna do pałacu w Kantonie. Przed nami pędzi jakiś famulus, w prawej ręce wzniesione wysoko niesie nasze karty — moja po chińsku na czerwonym papierze wypisana. Praktyczny zwyczaj! Niosąc je, obraca prawą stronę do idącego za nim gościa, by tenże jeszcze raz mógł swe imię przeczytać, aby snać z wielkiej emocyi własnego nie zapomniał nazwiska. Czekamy znowu w salce, europejskim stylem okropnie umeblowanej.

Po kilku chwilach zjawia się ów famulus, oznajmiając wicekróla. Chłop jak dąb, lat 69, prosto się trzyma, rękami macha, wielkie kroki robi, całkiem *à la chinoise* zresztą. Rękę mi podaje, przechodzimy do drugiego pokoju, siadamy, ja zawsze po lewej stronie: bo to miejsce honorowe. Detring pali rozliczne frazesa; następnie formalne inkwizytoryum, ale nie banalne, nie nudne jak w Kantonie. Nie mogło się obejść oczywiście bez zapytania, jaki majątek posiada mój ojciec, jak wysoki urząd piastuje w Austryi? Zresztą jednak głównie historya Polski, jej stosunków dawniejszych i dzisiejszych do mocarstw podziałowych, jej stosunków do Mongołów; czy przypadkiem nie pochodzą Sarmaci od Mongołów, jak Węgrzy; jakie były granice dawnej Polski, jakie uczucia żywią Polacy wobec cara i cesarza Austryi? Głównie pytał o stosunki Polski do Rosyi. Pytał mnie też o zawód, o zatrudnienie, radził zostać wielkim generałem i czekać chwili, kiedy mógłbym decydować o losach (nie dodał czyich, ale domyśleć się było łatwo, co myślał). Ciekawy frazes o Polsce: „Polacy, powiada, czekają zawsze jeszcze rozwiązania definitywnego kwestyi polskiej — w tem są podobni do Chińczyków; uczucia, które żywią Polacy wobec mocarstw podziałowych, są zapewnie podobne do uczuć, które żywią Chińczycy wobec mongolsko-mandżurskiej dynastyi, która Chiny ujarzmiła. Kwestya polska rozwiąże się sama przez się w chwili wybuchu wielkiej europejskiej wojny, która przyjść musi.“ Nie dodał, że wtedy zapewne spodziewają się Chińczycy uregulować z jednej strony rachunki z Mandżurami, z drugiej może z Rosyą. Wypytywał bardzo pilnie, czy wiadomości rozgłoszone w gazetach, jakoby car rosyjski zamierzał odnowić tradycye swych przodków i koronować się w Warszawie, są prawdziwe. Wyznaję, że w dyablim byłem kłopocie, co odpowiedzieć. Z wszelkiemi detaylami musiałem rozpowiedzieć, jakim sposobem rodzina nasza dostała się pod berło Austryi. Opowiadanie to widocznie go niesłychanie zainteresowało.

Po godzinie przeszło odeszliśmy z fotografią wicekróla, którą mi ofiarował prosząc o moją. Odprowadził nas aż do drzwi wchodowych swego niby pałacu, znowu rękę podał i czekał, aż wsiadłem do lektyki. Wyznaję, że obok wizyty u ks. Tokugawy, wizyta wczorajsza należy do najciekawszych zdarzeń mej podróży. Bez kwestyi, samo poznanie największego umysłem i pozycyą z pomiędzy 400 milionów, jest faktem niezmiernie ciekawym. Nigdy jednak nie spodziewałem się tej rozmowy, okazującej dowodnie, że człowiek ten interesuje się w wysokim stopniu wszystkiem, co się w Europie dzieje. Detring mnie uprzedził, że chińscy politycy, zwłaszcza jednak wicekról, wielce się sprawą Polski interesują — nietrudno zrozumieć, dlaczego.“

Mamy tutaj pomiędzy innemi wyjaśnienie, dlaczego potężny wicekról tak często popada w niełaskę u dworu — na wskróś Chińczyk, nie jest zwolennikiem dynastyi mandżurskiej, która swojską, chińską z tronu zrzuciła.

W liście z Pekinu d. 5. lipca podaje autor-książę bardzo ciekawy, choć tylko uboczny pogląd polityczny, który dzisiaj dokładnie sprawdzić już możemy.

„Słyszałem, zwłaszcza ze strony misyonarzy francuskich, skargę przeciw Hartowi (organizatorowi chińskiej służby cłowej), iż wpływów swoich, np. w czasie wojny tonkińskiej, w najniekorzystniejszy sposób dla Francyi używał, tłumacząc Chińczykom, że Francya nie jest w stanie długą wojnę prowadzić itd. Nie wiem czy to prawda, ale w każdym razie dość prawdopodobnie to brzmi, bo wiadomo, że w całej sprawie tonkińskiej, jak wogóle we wszystkich innych, tak Anglia jak Niemcy szły o tyle ręka w rękę, o ile chodziło o podkopanie interesów francuskich. Naturalnie przyjaźń ta niemiecko-angielska trwa póty, póki kochają się jak pies z kotem; wystarczyło to jednak, by interesa francuskie, przez rząd francuski najgorzej prowadzone, skompromitować do reszty. Wogóle od tej wojny tonkińskiej duma, pycha, zarozumiałość chińska urosła o setkę procentów; stąd trudność niesłychana w stosunkach. Tu przyczyna, czemu wpływ europejski jako taki maleje z dniem każdym. Jeżeli kiedy, to w tym wypadku sprawdza się przysłowie: kto pod kim dołki kopie itd. Owi oficerowie niemieccy, pruscy, którzy w czasie wojny z Francyą ćwiczyli i prowadzili wojska chińskie, którzy dzisiaj dalej uczą Chińczyków obwarowywać wybrzeża i miasta, strzelać celnie z armat i karabinów, kręcą bicz sami na siobie, a zwłaszcza na angielską skórę. Dziś zamiarem Niemiec nie co innego, jak wzmocnić o ile możności Chiny, zrobić z Chin mocarstwo, rozporządzające o ile możności znaczną siłą zbrojną i popchnąć je wtedy na Rosyę. Z chwilą rozpoczęcia wojny chińsko-rosyjskiej, armia niemiecka przekracza granicę francuską i ostatecznie eksterminacyjna walka się rozpoczyna“.

Z wycieczki do Pompei.

5 kwietnia.

Dziś już trudno w Pompei o coś nowego. To, co od stu przeszło lat, a zwłaszcza od r. 1825, wydobyto z pod całunu popiołu i kamyczków, wyrzuconych r. 79 naszej ery przez Wezuwiusz, daje nam wcale dokładne wyobrażenie o życiu i ruchu miasteczka handlowego z czasów rzymskich. Z pod czterech metrów powłoki wyszły całe domy, razem z urządzeniami, gmachy publiczne, zeskorupiałe trupy mieszkańców, ratujących się przed trzęsieniem ziemi i ognistym deszczem, skamieniała tragedya z przed ośmnastu wieków, której aktorowie w śmiertelnych kurczach leżą dziś pod szkłem, w małem muzeum, przytykającem do wykopalisk. Wszystko to jest dostatecznie znane z opisów podróży, z romansu Bulwera, z historyi starożytnej. Zresztą najlepsza część Pompei znajduje się dzisiaj w muzeum narodowem w Neapolu.

To, co zostało w Pompei, jest tylko

Na jasnem tle.

Wicek, fornal, już od rana naczynie opatruje, chomonta tranem czyści, bryczkę wyładował, siedzenia, jak się patrzy nakrył, bo na niego wedle dyspozycyi padło, że po proboszcza pojedzie. Kaśka „od krów“ jeszcze świtaniego do lasu za barwinkiem pobiegła... bo i jakieżeby to było „święcone“ bez ziela? Dopołudnie schodziła, ale całuśką płachtę przydźwigała. Będzie czem świętą strawę umaić. Reszta służby przygotowuje paszę dla gadziny na dwa święta, bo i niememu stworzeniu jeść trzeba, a w jutrzejsze doroczne święto robić się nie godzi. Trza dziś.

Uwijają się aż strach, choć o czczej gębie, boć to ostatni dzień postu świętego, to o warzy nikt nie pomyśli, trza suszyć, jak na prawego chrześcijana przystało. Dzwonko śledzia, skibka chleba, kieliszek wódki... byle zęby przetrzeć.

Ale za to jutro!? aż ślina w gębie rośnie.

Opowiadała dworska kucharka, co to tam różności napiekli! I placki z serem a makiem, dwojne na drugi i trzeci stół, i wszelakiego mięsiwa, kiełbas, wędzonek, szynek z onego wieprzka, co to ze sześć niedziel w karmniku siedział, ze trzy korce osypki zjadł, a tak się spasł, że go z ledwością czterech chłopa u belki kuli poćwiertowania zawiesiło. Setny plewniak! byłoby za niego na jarmarku kilkadziesiąt papierków!

Ale ta państwo o to nie stoją. Każdziuśkiego roku jedurny raz, czy to na Godnie czy Wielkanocne święta takie przyrządzanie jak tera. Taki już z dziada pradziada zwyczaj. Nietylko stołowi, ale i ordynaryjni dostają śmigus. Sama dziedziczka wedle jadła chodzi, zadba, żeby każdemu starczyło; oboje z dziedzicem z święconem jajkiem między służbę idą, przypiją, ludzkie słowo do człeka rzekną. Niczego państwo!... niczego!

Tak rozmyśla służba i wygląda, rychło-li dziedzic wyjdzie, a zawoła:

— Wicek, zaprzęgaj!

Ze dworu co chwila to która z dziewek wybiega, a prawi cudeńka o tej zastawie, co to słowa Bożego a święconej wody wyczekuje. Stół, nakryty bielusieńkim obrusem, długi, jak przez boisko, a palca nie włożyć, tak wszędzie pełno. Na jednym końcu dla dworskich, na drugim dla samych państwa. Serowiec wielgaśny, na piędź gruby, słodziuśki jak ulepek, z rodzynkami — przekładaniec, niby koło młyńskie, samych konfiturów to z pół garnca do niego wlazło; takich maluśkich placuszków z wszelakiemi migdałami i korzeniami, co je to mazurkami nazywają, bez mała tuzin, a baby jak sterty! Wszyśćko wydarzone, żółciuśkie od jaj i szafranu — aż pachnie! lukrowane! Jedna tylko największa, trochę się od gorącego ognia od wierzchołka zakopciła, ale dziedziczka przypaleniznę obcięła i teraz jest jak pod sznur! z wierzchu cukrzanym barwistym makiem posypana! Z kołacza to młody panicz trochę rodzynek wydłubał. Pani się strasznie gniewała, bo grzech ciasta przed święceniem tykać... Samych pańskich szynek a kiełbas to z pięć półmisków, aż kopiato! I prosie jest, a ino! chrzanem obłożone, a jajek to ze trzy kopy nagotowali; nie chciały rychtownie obłazić ze skorup za świeża, dopiero je Wikta w zimną wodę kładła, to się później jak groch ze strąka łuskały... Panienka baranka z masła urobiła, jak żywy! za ślepki to mu dwa czarne paciorki wsadzili... I wódkę i wino mają w butelkach poodtykanych, bo jakżeby inaczej święcona kropla do wnętrza padła?

Już wszyćko gotowe! tylko barwinkiem jeszcze mają... Dziedzic kazał zaprzęgać.

Trzeba i wedle przyodziewku pomyśleć, bo nijako księdza w powszednich szmatach w taki dzień spotkać...

Schodzi się służba z karbowym i polowymi na czele, dwórki z koszykami po „śmigus“ i ze „swojem“, bo niby każdemu czego zwyczaj w ten jedurny dzień w roku pomyśleć wypada, żeby było co święcić. Nadchodzą i gospodarskie żony ze wsi, a wszyscy odświętnie przybrani, choćby najmniejsze dziecko, to czystą koszulinę na grzbiecie.

Rozstawiają warzone, pieczone, w sieni dworu... czekają. Wysłali chłopaka na drogę, jak ino proboszcz będzie jechał, ze skrętu widać, niech duchem daje znać...

Czekają... gwarzą... Wiejskie gospodynie opowiadają sobie przedświąteczne kłopoty z pieczywem... to i owo. Zwyczajnie jak to między kobietami, jedna drugiej przechwala się: co to napiekła, u kogo brała farynę, u kogo mąkę... u kogo mięsa i po czemu...

— Łońskiego roku to się dobrze zdarzyło. Kubie krowina nogę złamała, dorznął i ludzie rozebrali. Nawet wyszedł na swojem, bo na jarmarku nigdy by tego nie dostał, a co była wygoda, to wygoda... Ale teraz Cheskiel zabił jałówkę, do miasta daleko, to jaki taki do żyda po kawałek, to niewiara i ździerał... Trudno! w takie święto to się ostatni chudzina na kawałek mięsa wysyple...

Czekają, a spoglądają, czy chłopaka nie widać. Nagle ruch się zrobił w gromadzie.

— Jedzie! jedzie!

Od skrętka wyrywa chłopak co sił starczy, powiewając rogatą czapką. Dopadł.

— Ksiądz jedzie — wyszeptał ziajany.

Dziedzic wyszedł przed ganek, wysadza z bryczki księdza, do pokoi wiedzie. Odkrywają się głowy zebranych przed sługą Bożym, jaki taki — kobiety, dzieci, cisną się ucałować ręce proboszcza, a on z dobrotliwym uśmiechem krzyżem świętym znaczy, a święte powitanie powtarza:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków, amen!

Weszli... Organista podaje książkę, dziedziczka wodę święconą i kropidło, przyklękają wszyscy, z piersi płynie modlitwa o ten chleb powszedni, chlebuś poświęcony.

Pokropił — wszyćko pokropił i najbiedniejszej komornicy koszyka nie pominął. Dziedzicowi i wszyćkim „wesołych świąt“ życzy, chce jechać, bo mu pilno. Państwo proszą, żeby choć chwilkę ostał — nie chce. „Inni czekają, a jeszcze we dwóch wsiach nie był“ — peda.

Ledwo, że się z dziedzicem kieliszkiem wina trącił... pojechał.

Rozchodzi się i gromada, bo każdy jeszcze w domu ma coś przyszykować, służba dworska także, — ale już ze „święconem“ — bo pani każdemu na odchodnem wydzieliła. Jeść nie można, grzech straszny, dopóki Pan Jezus w grobie leży... Inna rzecz po nabożeństwie, po resurekcyi... Na jajko święcone jeszcze do dworu zajść muszą państwu życzyć... Dobrzy państwo!

. . . .

Świta... Gromadka ludzi śpieszy do kościoła, uderzyć czołem przed Panem nad Pany. Powoli napełnie się świątynia. słychać rzewny śpiew nabożnych. Alleluja! alleluja!

Gną się kolana, chylą głowy przed Wielkim Majestatem Pańskim. Na jasnem tle podniosłych uczuć ludzkich żywa wiara dzierzga radość i wesele... Alleluja!

Świetlany promyk słońca przez uchylone drzwi świątyni zabłysnął. To zwiastun tego „dnia wesołego co nastał“.

Kapłan ukazuje zebranym Krew i Ciało Pańskie.

Łzą dziękczynną zachodzą oczy, z prostaczych piersi dobywa się westchnienie, pieśń nabożna coraz głośniej rozbrzmiewa.

Resurexit sicut dixit...

I płynie ten szmer ludzkich głosów hen! hen! po za mury kościelne, owiany wonią świeżych pęków wierzbiny, zapachem pierwiosnków i sasanek, razem z pieśnią skowrończaną przez niebieskie przestworza; niesie go ciepły wietrzyk wiosenny po różanych brzaskach wschodzącego słońca do stóp Pana Wszechświatów! a im dalej! im wyżej! tem potężniej, tajemniczo a podniośle rozbrzmiewa gwar ziemski, aż o tron Najwyższego, dziękczynnym hejnałem Zmartwychwstania uderzy!

K. L.

szkieletem pierwotnego miasta, jednym wielkim grobowcem, czy też wykopaliskiem, nad którem turyści, opatrzeni w czerwone Baedekery, robią studya, przebiegając pospiesznie po dawnym bruku, z ulicy do ulicy, wchodząc do pustych domów, aby zobaczyć malowidła ścienne, mocno już przyblakłe, rozkłady domów, kolumny bez kapiteli, sterczące całemi rzędami, w głuchej ciszy i martwocie skamieniałego miasta.

Nie będę się zatrzymywał nad opisem miasteczka i jego życia, bardzo ruchliwego, gwarnego, zbliżonego w wielu szczegółach do obecnego życia na przedmieściach i odległych ulicach Neapolu. Wszakże tutaj także Wenus pompejańska miała swój osobliwy kult, jak zresztą wszędzie nad czarującą zatoką, posiadała tu świątynię i widocznie wielu gorących wyznawców, czego ślady pozostały w malowidłach ściennych, w domach rozpusty, pornograficznych przedmiotach, zamkniętych w oddziale sekretnym w muzeum neapolitańskiem. Przed kilku jeszcze miesiącami znaleziono tu jedno z tych malowideł, które właściciel obszernego i wykwintnego domu, koło Porta di Nola, umieścił na ścianie przy wejściu do atryum, ku uciesze swoich, widocznie niewstydliwych gości. Dzisiaj obrazek ten mocno zakratowany wisi wprawdzie na tem samem miejscu, ale nie dla wszystkich jest dostępnym.

Przebiegłem tedy przez Forum, koło Bazyliki (sądu), największego budynku w Pompei, koło świątyni Apollina, Jowisza, Halli targowej, ku Porta di Nola, gdzie się obecnie prowadzą wykopaliska. Nie można powiedzieć, aby rząd włoski prowadził roboty pospiesznie. Nie, jeśli tak dalej pójdzie, to nie wcześniej, jak za jakie lat 60 ujrzymy (a raczej nasi potomkowie) odgrzebane całe Pompei, w obrębie dawnych murów i wieżyczek; odsłonią się wtedy także dwa szeregi grobowców i willi, leżących po za miastem, przy dawnej drodze ku Herkulanum i Neapolowi, bo oprócz miejscowych mieszkańców, byli bogaci Rzymianie, co w Colonia Veneria Pompejanorum posiadali wille i zjeżdżali tutaj na lato dla kąpieli morskich, dla miłego klimatu, ładnego położenia, no i zapewne także — dla wesołego, swobodnego życia, jakie jest szczególnym monopolem tego zakątka.

Przeszedłszy tedy jeszcze przez Casa di Fauno (Dom Fauna), tak nazwaną od bronzowego Fauna tańczącego, znalezionego w *impluvium* (basenie wody), razem ze słynną mozaiką bitwy pod Arbelą, kieruję się uliczkami w dzielnicę, wysuniętą bliżej ku Wezuwiuszowi, gdzie obecnie około pięćdziesięciu robotników pracuje.

Nowo odkopany dom, jeden z piękniejszych, nie ma jeszcze nazwy. Jak widać z rozkładu gmachu, jest to typowy dom rzymski: w środku atrium, a w nim impluvium dla wody deszczowej, spływającej z dachów, potem perystyl, to jest podwórze z kolumnadą w koło z ogródkiem pośrodku, gdzie rosły pomarańcze, cytryny i kwiaty, a około tych dwóch większych pomieszczeń grupują się pokoiki do ściślejszego domowego użytku, a więc *tablinum* (niejako nasz salon), *triclinium* (sala jadalna) i wreszcie pokoje sypialne, ciasne, ciemne, jak i pokoje dla służby. Wszędzie ściany obłożone są stłukiem, dużo kolumn marmurowych, mozaikowe posadzki, marmurowe białe ocembrowania studzien. W tablinum ładne i zajmujące freski: męczeństwo wleczonej przez byka Circe (znane także z wielkiej grupy marmurowej w muzeum w Neapolu), Penteusz, rozszarpany przez bachantki, miłe dla oka pejzażyki wśród festonów, kwiatów i amorków, charakterystyczne dla tak zwanego stylu dekoracyjnego pompejańskiego i t. d.

W perystylu, pogodnym, świecącym marmurem śnieżnej białości, stoją dwa posążki marmurowe amorków, dalej dwie bachantki, jakaś wanienka, jako ozdoba domowego skweru, zdradzające ten bardzo prowincyonalny, a także już podupadający, zniewieściały, czy też zepsuty smak i szkołę miejscowych artystów dłuta. Daleko dokładniejsze są już dwie kolumny, opodal znowu dwa posążki bronzowe, pokryte niebieską pleśnią wieków, dwóch chłopczyków, trzymających owoce i ptaki, niesmaczne wyroby ówczesnej sztuki neapolitańskiej, jakiemi sobie zamożny kupiec pompejański, czy też Rzymianin, upstrzył miejsce nadmorskiej wilegiatury. Sypialne pokoje grały zawsze tak podrzędną rolę u Rzymian, że się je zwykle krótko pomija, bo nie ma o czem mówić, były to tylko ciemne, o ile możności chłodne łożyska. Nad sypialniami nad pokojem jadalnym, od frontu, stało jeszcze jedno piętro.

Jednem słowem, odkopany świeżo dom, podobnym jest do znanego domu Holconiusa, do domu Fauna, do domu Castora i Poluxa, (naprzeciw termów — tak mianowanego od fresku, znanego wewnątrz) i także do domu Cecyliusa Jucundusa, bankiera, odnalezionego przed laty dwudziestu, wcale okazałego, bo już wtedy widać bankierzy lubili się otaczać pewnym zewnętrznym blaskiem i imponować bogactwem.

Zdaje się, że obecnie postanowiono zostawić na miejscu w Pompei trochę tych osobliwości dawnego życia małomiasteczkowego, aby dodać trochę interesu ruinom i tak już ogołoconym z najważniejszych swoich właściwości. Będą więc już przenosić do Neapolu tylko rzeczy całkiem pierwszorzędnej wartości, mogące łatwo ulec uszkodzeniu. Zyska na tem Pompea, a nic nie stracą turyści, ani Neapol.

Z wysokości nie odwalonych jeszcze przestrzeni obejmuje się okiem całe miasteczko, sterczące w świetle i upale słonecznym, z uliczkami, wybrukowanemi wielkiemi płytami z tufu wulkanicznego, z termami (kąpielami), koszarami gladyatorów, małą świątynią Izydy. W jednym kącie pracuje kilkudziesięciu robotników; odsłaniają ulicę, idącą ku bramie di Nola, kopią motykami ziemię, urywają pól białego łubinu, bobu i kłosiącego się jęczmienia, wywożą ją taczkami na małej konnej kolejce dalej, het, za miasto, do dołów. Słońce przypieka; z jednej strony, za nami, spokojny, siny Wezuwiusz, wiszący zawsze nad okolicą z małym białym słupem dymu z krateru, z drugiej strony, nad Castellamare, od Salerno i Nocery, łańcuch niebieskich gór, niżej morze zatoki, aż ku Noli, płaszczyzna, tak zwana *La Campania felice*, choć dali Bóg, nie wiem, czy w sąsiedztwie Wezuwiusza może się co nazywać szczęśliwem. Trochę pilniej w polu, wieśniacy, gdzieniegdzie białe płaskie domy, wioska Pompei i kopułka nowego, wcale okazałego kościoła Matki Boskiej Pompejańskiej, ale nad tem wszystkiem, na lazurowem tle południowego nieba, wulkan Wezuwiusza, olbrzym, monopolizujący uwagę, ten, którego tutejsi chłopi nazywają poufale, poprostu: „La montagna“.

Zwiedziłem jeszcze nakoniec *Il Santuario della Madonna di Pompei*, bardzo dzisiaj głośne miejsce odpustowe, w miesiącu maju i październiku. Zapylona droga prowadzi do kościoła, postawionego przed pięciu laty, z cudowną Madonną, mnóstwem wotów, przepychem marmurów i z dwoma przytułkami dobroczynnemi: dla sierót i dzieci skazańców, tak jak w Noli jest dom schronienia dla starców. Wyobrażam sobie, co się tu dziać musi w dnie odpustowe... bo Madonna di Pompei nabrała wielkiego rozgłosu, a cała osada rozwinęła się nagle, jako słynne miejsce pielgrzymki. Kwitnące jabłonie i różowe kwiaty migdałów dodają pogody otoczeniu świątyni, która jest widocznie małem miejscowem Lourdes, zwanem tutaj Valle di Pompei.

To, co się tu przy zakończeniu mojej wycieczki natknąłem, nie ma chyba nic już wspólnego z wrażeniami, jakie się wynosi z ruin i widoków. W hotelu del Diomede obiad; oczywiście zaraz mandolinata, wesołe skoczne neapolitańskie piosenki, potem kupa żebraków, opadających cudzoziemca, szarpiących go ze wszystkich stron, dalej natarczywe propozycye przewodników, dorożkarzy, neapolitańskiej gawiedzi, największej plagi, jaką sobie na świecie wyobrazić można! I dziwić się potem, że na paryskich bulwarach wyśmiewają Włochów, wołając na nich: *macheroni!* Bezczelność, natręctwo neapolitańskich *macheroni* przechodzi rzeczywiście wszelkie granice, a co do brudu, niechlujstwa, nie mają sobie chyba równych.

Wynagradzają jednak te kłopoty urok południowego klimatu, lazury zatoki, pogoda i uśmiech nieba. Pociąg wiozący nas z powrotem do Neapolu, biegnie nad morzem, które zachodzące słońce pruje w złociste smugi. W Tore Annnziata i Torre del Greco żegnamy się, oddalamy od Wezuwiusza, okrążamy pobrzeże, aby znaleźć się na ulicy Toledo, wśród ogłuszających wrzasków i mrowiska wieczornego spaceru.

Da.

Pan Jezus w gościnie.

(Legenda śląska.)

Było to za owych czasów, kiedy ludziska byli jeszcze dobrzy „jak do rany przyłożyć“ na ziemi, a zło pojawiało się śród nich bardzo rzadko i to najczęściej, jako naleciałość obca.

Na Śląsku, wtedy n a s z y m, gdyż go Piastowicze, pod urokiem diabelskich lafirynd z nad Renu, przehandryczyć Niemcom jeszcze całkiem nie zdołali — ludziska żyli jak u Pana Boga za piecem: cicho, spokojnie, na własnym albo lennym zagonie, orając kawał królewskich nieużytków, pasąc kozy i ścinając kłody buczyny toporkami. Woda je szumnej Olzy niesła potem hen, aże na kraj świata i siłę grosiwa ciułało się na czarną godzinę.

Co prawda, Niemce, pojawiały się już w okolicach Cieszyna, ale te chude z harbajtlem za plecyma, kuso odziane, rudawe, kosookie gadziny, były synaczkami tych, których czarci ongi we worach z piekła nieśli do Brandemburgów (bo ich tam zabrakło i lament był z tego powodu wielki nad Spreją) a po drodze, gdy się niektóre wory popsowały, sporą garść nad Śląskiem uronili.

Mnichy, spędzone ode Skaldy, śpiewywali co prawda duchem „Sey begruest du Koenigin, albo mruczeli w swem narzeczu Vater unser itd. górale jednak śląscy z tego ucha nie radzi słuchali i byle im ich dawny ksiądz huknął „Witaj królewa, albo Ojcze nasz coś jest w Niebiesiech“, to leźli jak ćmy za światłem, i garnęli się wedle swojaka a ojcowej drogiej wiary.

Wtedy też i święci, bah i Pan Bóg nieraz, chadzali po Śląsku, jak po swojej ukochanej ziemi, bo górale, to dzielne było plemie, bogobojne a pracowite aże strach, a Niemca bez deskę obaczyło nawet, i nuże go tam skubać: te z łuku, to włóczniskiem, to top rem-odwalichą. Zasobny to też lud był co ino mlaskać językiem, a jurny i bundziuczny, że ino trzymaj się zdaleka. Gazdów i gaździn nie było na Śląsku, gorzały też nikt nie przedawał, a jak się żydowie zawieruszyli w okolice Kozubowej, to szach mach i po krzyku było!

Bieda jednak wałęsała już wtedy po ziemi, a choć jej Pan Jezus surowo zakazał, coby się Ślązaków wcale nie imała, bo żyli bogobojnie a składnie przy Bogu i swojakach, bestyjstwo to nieraz łaziło po górach na ludzkie utrapienie.

Marcin Zawała, co mieszkał hen, aże za przepaścią, kędy Stefek Naledniak (*) nasmyrgał Niemców pół kopy w pancerzach i z oszczepami jeszcze w prawicy, chudziakiem był aże piszczało, a białogłowa, co mu rzucała chłopięta niby ciołki co roku, umiała ino zrzędzić a wydziwiać i gadać: adyć chleb, dla drobiazgu, to twoja sprawa chłopie! Poszedł tedy Marcin czartu na wysługi tj. zaprzągł się dobrowolnie do jarzma niemcoszków, byle uciułać coś dla drobiazgu. Że jednak pierwsze już Germany, przywlekły ze sobą sztajery i zulagi a już i o zuschlagach imaginowali, zjawił się raz tedy, akurat przed Wielką Nocą, taki „Sztajerejnemer“ w chacie Marcinowej i sakramentując a donerweterując jak przystało na takowego niegodzijasza, nuże wymagać srebrniaków a grozić turmą i berłem niemieckich książątek... batogiem.

W chacie było wszystkiego trzy srebrniaki, a głodnego drobiazgu pół tuzina, baba tedy ożogiem się niemcoszkowi pokłoniła tak głęboko, że skakał potem bez parowy i skaliska, aże kurz się wymykał z pod kusego fraczka i z pod szkopkowatej czapeczyny. Niemniej tedy, starym obyczajem, należało przyładzić pieczywo i kęs mięsiny, a warzonki chociaż dzbanuszek i jajec mendel, i zanieść w białej chuście do Jabłonkowa, które potem Niemce, w swej niegodziwości na „Jablunkau“ przeznaczyli, aby pokropił księżyna i nakarmić tem maleństwo.

Marcin, na germańskiej sforze, jak nie wracał, tak nie wracał i nikaj o nim nie można było zasięgnąć języka.

Tak nastała wielka Sobota,a choć Marcinowa, wedle nkajania dzieci, gadała im co ino nie widać tatunia, sama w głowę zachodziła skąd tu wziąć pieczywa i mięsa i jajeci prosiaka, a zanieść do Jabłonkowa.

Zeszło im do północka, aże drobiazg pospał się na przypiecku, a baba, po wyszemraniu kawałka pacierza, legła także obok w komorze.

Starszy chłopak Józek, rzeźki malec, co z łuku już puszczał strzaliska a sam począc się napinał ojcową cięciwę, nagle zerwał się na równe nogi i zalamentował:

— Matulu, matlu, ady obejście gore, abo co! Patrzajcie ino, jaka jasność okróteczna!

Chatę zalewały strumienie światła i było słychać jakiś chrzęst, a dziwnie składne pienie, jakby anieli z nieba, ze złotemi harfami, rozsiedli się na Kozubowej.

Przed zbudzoną dzieciarnią i na poły zaspaną góralką, ukazała się nagle w izbie urocza postać dorodnego mężczyzny, z niewysłowionem cierpieniem wyrytem na obliczu; ale to oblicze było dobrotliwie uśmiechnięte, z białej, powłóczystej szaty, cknęła woń macierzanki i lawandy.

Chłopięta rozwarły szeroko oczęta, Marcinowa przycupła na kolana, gdyż w tym urodziwym gaździe, poznała odrazu pana swego, Jezusa Chrystusa. Nastrachana tedy trochę, uderzyła się jednak potężną garścią co sił w podołek, a szeptać zaczęła: oto ia, służebnica Twoja, niech mi się stanie itd.

Siła w niej było trwogi, czy nie sąd ostateczny i wiekuiste pokaranie...

Ale Pan Jezus, gdyż to on był prawdziwie, nachylił się, pogłaskał dzieci po bladych pyzach i rzekł łagodnie:

— Niewiasto, nawiedziłem próg twój, gdyż chłop twój sprawiedliwy jest: chowa dzieciaki w bojaźni mego Rodzica. Tedy ja jemu i wam, przysyłam na pamiątkę mego za narody męczeństwa, wasze wedle ojców obyczaju, Święcone.

Rozciągnął dłonie nad koszem pełnym mięsiwa, placków i jajec malowanych i zrobił nad nim swój znak święty, ten sam co nas Polaków, po wiek wieki, przy prawdzie i miłości utrzyma.

Gdy Marcinowej przetarły się oczy, a chłopięta, olśnione jasnością, wróciły z okrótecznego strachu do siebie, widziadło znikło już z chaty, pozostał tylko kosz pięknie upleciony z sitowia, pełen cudownych śliczności i ta rozkoszna woń macierzanki i lawandy.

Nazajutrz, skoro świt był, Marcin Zawała wrócił z jarzma niemcoszków i przyniósł do dom szkopkowatą czapeczynę Stejereinemera, którego spotkawszy gdzieć wedle kniei pod Jabłonkowem, obwiesił po drodze, na mocnej, dębowej gałęzi, coby już tyla śląskiej nie nękał ludzkości.

Według starych gadek spisał
Zygmunt Grabowski.

*) Patrz obrazek śląski historyczny z XIV. w. p. t. „Prawdziwa historya o górze Kozubowej i o Stefku Naledniaku także i Kozubem zwanym“. *Kłosy* r. 1880.
Przyp. aut.

KRONIKA.

Lwów dnia 13. kwietnia.

Następny numer „Gazety Nar.“ wyjdzie dopiero we wtorek, jak zwykle.

Resurexit! Z milionów serc wyrywa się dziś ten radosny okrzyk tryumfu odwiecznej Prawdy. Zmartwychwstał Syn Boży, a z nim zmartwychwstała prawda, miłość i braterstwo. I rok rocznie, w tym dniu, na całym świecie, wszędzie, gdzie nasiona żywej, czystej wiary tkwią w duszach i sercach ludzkich, słyszymy zwycięzki okrzyk tryumfującej prawdy: Zmartwychwstał!

Wśród przygotowań do świąt, ostatni tydzień minął szybko i nadszedł wreszcie gorąco oczekiwany wieczór. Ciszę poważną przerwał uroczysty odgłos dzwonów, z kościołów wyszły procesye, a z tysiąca ust wypłynęła na świat pieśń: Wesoły nam dziś dzień nastał! Powoli kroczy procesya po trzykroć koło kościoła. Dźwięk dzwonów i głosów ludzkich zlewa się wspólnie w dziwnie harmonijną całość. Na wszystkich twarzach widać błogie zadowolenie i radość bezgraniczną. Serca żywiej biją w piersiach, jakiś dreszcz przebiega ciało. Procesya wchodzi w mury świątyni i pobożnej pieśni zaczynają wtórować uroczyste tony organów. Jeszcze jedna chwila — i wszystkie czoła pochylają się przed błogosławieństwem Tego, który zmartwychwstał.

Chwila to wspaniała, wielka i potężnie na umysł działająca. Aby mieć pojęcie o niej, trzeba być tam wśród tłumów, trzeba czuć, co one czują. Słowo ludzkie nie starczy na odmalowanie tego uroku, jaki chwila ta roztacza. Czujemy tylko wielką doniosłość uroczystości i sercem odczuwamy ofiarę, jaką dla odkupienia ludzkości Syn Boży uczynił i silnie wierzymy, że nie ma śmierci ani grobu. Wierzymy, że duch ludzki, kiedy opuści ziemską powłokę, zmartwychwstanie! Nie ma śmierci, jest tylko wieczne życie; nie ma mroku, a tylko światło!

Zapiski osobiste. Hr. Bogan C z a p s k i, właściciel fideikomisu smoguleckiego w pow. wągrowieckim, mianowany został dziedzicznym członkiem pruskiej izby panów.

Z armii. Arcyks. Piotr Ferdynand w stopniu podporucznika przeniesiony do pp. 41, major Jul. Hosparz z pp. 80 przydzielony do pp. 97. Zastępcami lekarzy asystentów mianowani drowie Oesterreicher Gustaw, Feuersteinn Nachmann, Frachtmann Hersch, Guth Majer, Kowalewski Edmund, Zieliński Tadeusz, Doliński Maryan i Popper Adolf. Naczelnikiem intendantury dywizyjnej we Lwowie mianowany Scherer Leo w miejsce Ima Wassermana, którego przeniesiono do 6 korpusu. Młodszy intendant Pulicer Oskar z 9. korp. przydzielony do 11 korpusu we Lwowie.

Zmiana własności. Majątek Borki pod Lwowem kupił p. Józef Śniadowski od Kasy oszczędności za cenę 90.000 złr.

Akcya wyborcza. Wedle *Hałyczanyna* zawiązał się jeszcze w marcu w Złoczowie komitet wyborczy, do którego należą radca Rożankowski, kandydat notaryalny Rudnicki itd. (skład onego wskazuje, że to po części komitet moskalofilski). Co jednak komitet czyni, niewiadomo. Mają się jeszcze zawiązać komitety wyborcze w Zborowie i Olesku. P. Rożankowski na żaden sposób nie chce ponownie przyjąć mandatu, a on jest jedynym, któryby z pewnością wybrany został. Dlatego duchowieństwo i włościanie są za kandydaturą włościanina, bo włościanin przeszedłby z pewnością. Dotychczas słychać o kandydaturze p. Jana Rudnickiego (którego podobno ma proponować komitet Barwińskiego), notaryusza zborowskiego Onyszkiewicza (który także ma się starać o względy komitetu Barwińskiego) i ks. Daniela Taniaczkiewicza.

Pociągu błyskawicznego Lwów-Wiedeń rozkład jazdy wykazuje to, co wczoraj donieśliśmy już, że czas trwania jazdy ze Lwowa do Wiednia wynosi prawie pełnych 13 godzin, a to ze Lwowa do Krakowa 5 godzin i 3 kwandranse, z Krakowa zaś do Wiednia 7 godzin i 8 minut. Rozkład jazdy i stacye na przestrzeni Lwów-Kraków, na których będzie się ten pociąg zatrzymywać, tak się przedstawiają:

(Odjazd).		(Przyjazd).
8·40 rano	Lwów	8·40 wieczór
10 40 „	Przemyśl	6·54 „
10 53 „	Jarosław	6·11 „
11·30 „	Łańcut	5·34 popoł.
11·47 „	Rzeszów	5·13 „
12·35 „	Dembica	4·25 „
1·10 „	Tarnów	3 52 „
2·24 „	Kraków	2·40 „
9 32 wiecz.	Wiedeń	7 40 rano.

Godziny powyższe podane są wedle zegaru kolejowego, późniejszego o 36 minut od lwowskiego zegaru, tj. gdy na lwowskim zegarze 12, na kolejowym dopiero g. 11 m. 24. Pociąg ten zatrzymuje się jadąc do Wiednia: w Przemyślu 5 m., w Łańcucie i Jarosławiu minutę, w Rzeszowie 4, w Dembicy 3, a w Tarnowie minutę. W kierunku z Wiednia do Lwowa zatrzymuje się: w Tarnowie minutę, w Dembicy 4, w Rzeszowie 3, w Łańcucie i Jarosławiu minutę, a w Przemyślu 6 minut. Do jazdy przy tym pociągu używane będą wagony tylko I. i II. klasy, a ceny biletów te same, jak przy pociągach pospiesznych.

Petycya urzędników sądowych w Galicyi. Wśród powodzi petycyj, które w sprawie polepszenia bytu lub stosunków awansowych poszczególnych kategoryi urzędników do Rady państwa napływają, zasługuje na szczególną uwagę i szczere zajęcie się petycya adjunktów sądowych lwowskiego okręgu apelacyjnego, wniesiona na ręce posła dr. Piętaka. Dla lwowskiego okręgu apelacyjnego systemizowano 330 posad adjunktów sądowych w IX. randze, 2 posady sekretarzy rady wyższego sądu, 2 posady adjunktów sekretarskich wyższego sądu i 23 posad sekretarzy przy trybunałach I. instancyi w VIII. klasie rangi. Ze 118 sędziów powiatowych w VIII. randze przeniesiono 39 do rangi VII., zatem 79 sędziów powiatowych pozostaje w VIII. randze. Stosunek tedy posad adjunktów IX. rangi do posad VIII. rangi ma się jak 3 do 1, jest więc najniekorzystniejszy w całej Austryi. Z powodu braku odpowiedniej liczby posad radców, kierują sekretarze rady i adjunkci sekretarscy sądami pow. m. deleg. i rozprawami karnemi, a z powodu braku odpowiedniej liczby posad sekretarskich, pełnią auskultanci sądowi funkcye protokolantów przy wyższym sądzie, prowadzą śledztwa karne i występują jako samoistni referenci w sądach I. instancyi w sprawach cywilnych, a nadto 13 auskultantów pełni funkcye przy prokuratoryach państwa. Wskutek powyższego stosunku posad VIII. rangi do posad IX. rangi, czekają obecnie adjunkci sądowi 20—23 lat na posadę VIII. rangi. Grozi im jednak niebezpieczeństwo, że dopiero po 27 latach służby państwowej będą mogli w obecnych stosunkach osiągnąć VIII. rangę, a zaznaczyć należy, że ci adjunkci służyli rządowi przeszło cztery lata zupełnie bezpłatnie, 2 lata z adjutum po 500 zł., a 3 lata z adjutum po 600 zł. W całej Austryi przypada na jednego sędziego I. instancyi 6848, na sędziego II. instancyi 135.769 mieszkańców, natomiast w lwowskim okręgu apelacyjnym przypada na jednego sędziego I. instancyi 8754, a na sędziego II. instancyi 170.853 mieszkańców. Np. w sądzie obwodowym kołomyjskim przypada rocznie na jednego sędziego 5636 spraw cywilnych i karnych. Przy sądach powiatowych przypada rocznie na jednego sędziego 6172 spraw a przy sądach pow. m. del. 6468 spraw urzędowych. Takie to stosunki istnieją obecnie w galicyjskich sądach, a aby choć w części uchylić te nad wyraz smutne stosunki, proszą we wspomnianej petycyi adjunkci sądowi o wydatne pomnożenie posad sekretarskich VIII. klasy rangi i przeniesienie co najmniej 1/3 części adjunktów sądowych do VIII. kl. rangi.

Ofiara przepisów pensyjnych. *Gaz. urzęd.* donosi, jak zapewnia z wiarygodnego źródła, o następującym fakcie: W lutym br. wpłynęło do Ministerstwa podanie następującej treści: „W najgłębszej pokorze podpisana córka ck. radcy sądowego, której stryj był namiestnikiem Galicyi, żyje obecnie w największej nędzy i zmuszona jest mieszkać z dziennymi robotnikami w piwnicy, gdyż pobiera tytułem daru z łaski tylko 4 złr. miesięcznie.“ Zarządzone dochodzenia miały stwierdzić prawdziwość tego.

O samobójcy śp. Cmokowskim, o którym podaliśmy onegdaj szczegóły z jego życia, proszeni jesteśmy przez jego ojca o zanotowanie, że jakkolwiek był awanturnikiem, to przecież nie dopuszczał się kradzieży. Raz padło nań wprawdzie podejrzenie tego rodzaju, okazało się jednak następnie nieuzasadnionem. Tak samo niesłusznie podejrzywano go o wykradzenie pensyonarki, która od rodziców do ciotki na krótki tylko czas się przeniosła.

Na podstawie § 19. ust. prasowej nadsyła nam dr. Bliziński imieniem Kuryłowicza następujące pismo z prośbą o zamieszczenie: „Nieprawdą jest jakoby kantyniarze Kuryłowicz i Agid wyprawiali z Weissem na cytadeli awanturę, bo takich kantyniarzy tam nawet nie ma i jakoby ich oddano policyi. Prawdą jest tylko, że Weissa, sprzedającego pokątnie wódkę i wiktuały na cytadeli, Kuryłowicz właściciel restauracyi tamże, delikatnie poprosił, by tego nie czynił a gdy Weiss opór stawił, kazał go przyaresztować i sam na policyę się udał, by tegoż ukarano“.

O Ledochowskim, aresztowanym we Wiedniu za kradzież paltotów, dzienniki tamtejsze donoszą, że jest rosyaninem i niebezpiecznym zbrodniarzem, znanym też za granicą pod nazwiskami: Kmiecików, Jelski, Kmicic itd.

Rzeczywista i amatorska wartość obrazu. Znany wiedeński malarz Wagner, sprzedał za nieznaną obecnie ogółowi kwotę swój obraz, przedstawiający widok rybacki z Holandyi, jakiemuś handlarzowi w rodzaju paryskiego śp. Goupila. Obraz powędrował stamtąd za witrynę handlarki Teresy Schmidt, która go później odstąpiła agentowi ubezpieczeń Karolowi Hermann za kwotę 250 zł. wekslem zapłaconą. Nieszczęsny obraz został później sprzedany niejakiemu Hauserowi, handlarzowi koni, za śmieszną kwotę 30 zł. i jest jeszcze w jego posiadaniu. Że jednak Hermann swego wekslu nie zapłacił, zaskarżyła go Schmidtowa, a że sędzia znał ją jako lichwiarkę, akta więc przesłał prokuratoryi, która odrazu kazała uwięzić Schmidtową, gdyż dwóch żydków pośredniczyło między nią a Hermanem, którzy widocznie pożyczając pieniądze na weksel, otrzymał ów obraz w pewnej części gotówki. Zwołano tedy biegłych, którzy ocenili pracę Wagnera także w sposób dość szczególny, — podczas bowiem gdy dwóch przyznawało jej wartość 260 do 300 złr., zawezwany przez prezesa sądu malarz Mithke, uznał malowidło za wyrób fabryczny, za ścienną dekoracyę i podał jej wartość na 64 zł. Wobec tych fluktuacyj cen, prokurator cofnął swe oskarżenie, a biedny malarz dotąd nie wie, czy jego praca warta jest 300 czy 64, czy też tylko 30 zł. i czy jest to dzieło sztuki, czy też tylko wyrób fabryczny i... ścienna dekoracya.

Opodatkowanie cudzoziemców we Francyi. Jak wiadomo, francuskiej Izbie posłów przedłożono liczne projekty ustawy, co do opodatkowania cudzoziemców stale zamieszkujących Francyę. Poseł Descubes, złożył Izbie sprawozdanie z którego wyjmujemy następujące dane: Liczba cudzoziemców, mieszkających we Francyi, przewyższa o wiele liczbę Francuzów przebywających za granicą. W r. 1891 było 1,130.211 obcokrajowców we Francyi; między nimi najwięcej Włochów i Belgijczyków, dalej Niemców, Hiszpanów i Szwajcarów. Te pięć państw ddstarczają 93 prct. wszystkich obcych mieszkających we Francyi. Najwięcej cudzoziemców trudni się przemysłem, następnie idzie rolnictwo i handel. Główny kontyngent obcych robotników jest w kopalniach, żupach solnych i warzelniach, w kamieniołomach i przy budowach portowych; natomiast przemysł taki, który wykształce-

---

11

Ze Starżów pani Appelstein.

Powieść współczesna
w dwóch częściach
przez
Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

VII.

Bernard ochłaniał po ciosie, którego całą winę sobie przypisywał, tem prędzej, że myśl jego wszechpotężnie zajmowała Irena. Odpowiedź jaką mu przyniósł Bywalski, by czekał dni dziesięć, mniej go uspokoiła, niż uścisk dłoni przyjaciela wśród szeptu.

— Bądź dobrej myśli...

Bywalski nie mógł mu powiedzieć, iż sam liczył prawie na pewno, że panna Starża odda mu swoją rękę, bo był wyznawcą maksymy *high lifu* jego epoki, która nakazywała z finansami długie targi, mające ich przekonać o wysokiej wartości kupowanego towaru.

Appelstein żywił więc nadzieję, że przyszłość niebawem ukaże mu się taką, jaką ojciec jego całe życie dlań marzył. Stary pan Salomon, jego ostatnie chwile, jego śmierć nagła po scenie ze synem, zdwoiły jeszcze w Bernardzie gorące, namiętne pożądanie Ireny za żonę. I sam, zamknięty w pałacu, pokryty żałobą, będącą u niego czemś przypominającem powagą obyczaje jego rasy, nie wiedział, czy więcej pożądał Ireny jako kobiety, czy panny Starża jako żony, jako pani pałacu Appelsteinów, jako matki pierwszego pokolenia, które się miało urodzić już w tym domu i nie zaznać choćby pamięcią tych peripetyi dojścia do czegoś, które on niestety pamiętał.

Pogrążony w zadumie, w strasznej gorączce oczekiwania, a trwodze niepewności, pracował wytężająco mózgiem, nie pozwalającym mu ani chwili spocząć. Żałoba jego była tylko pośrednio pomnożycielką jego cierpień.

Nikt go nie nagabywał interesami, nikt o nic nie pytał w pierwszych dniach po katastrofie i to ułatwiało mu tylko zabójcze pogrążenie w labiryncie myśli, wspomnień i wątpliwości.

O czem on nie myślał, a wszystko obracało się wkoło Ireny, z niej brało ujście lub ku niej spieszyło.

To przebiegał w myśli tę swoją całą młodość, tak przykrą, tak straszną mimo milionów, w których się kąpał prawie. Jak daleko sięgał pamięcią, to tylko przypominał sobie rumieńce, które go paliły, aluzye, które połykał i te tysiączne awanie, wypływające z niejasnej jego pozycyi socyalnej, które znosił.

W szkołach wyśmiewali koledzy jego nazwisko, opowiadali mu z niedelikatnością, właściwą tylko najpierwszej młodości, anegdoty z życia jego ojca. Od nich to, wśród rozhukanych śmiechów tej okrutnej swą bezwzględnością szkolnej młodzieży, dowiadywał się historyi domu Appelsteinów, którzyby inaczej, sądząc po szacunku, jakim otoczonego widział swego ojca, po pełnych poważania minach buchhalterów i służby domu Appelstein, uważał za jeden z pierwszych i najdostojniejszych domów w Warszawie. Od nich to podowiadywał się tych tysiące prawdziwych może i nieprawdziwych szczegółów i anegdot. Ich to jad trucizny sprawił, że jako dojrzały młodzieniec niepewnym krokiem wchodził do salonów świata, który go zapraszał przecież, a drżącą, wahającą się i niezgrabną rękę wyciągał do tych, którzy mu często otwartą i szeroką dłoń podawali. Oni to zaszczepili w nim tę nieufność do ludzi, tę głuchą nienawiść do świata, w którym żyć musiał, tę namiętność w wywalczaniu sobie w nim stanowiska, tę podejrzliwość, która się w nim kształtowała. Oni to byli może przyczyną, że się tak niezgrabnie brał do ożenienia, z tą niepewnością każdego kroku i słowa, zrażającą pannę.

Bo o ileż ich on się już starał? Chcąc zadość uczynić przyrzeczeniu ukochanego ojca, chcąc coprędzej śmielej stąpać po posadzce, na którejby go ośmielała jego połowica, starał się co zima prawie to o tę, to o tamtą pannę ze świata...

Jakże to czynił niezręcznie, a może głównie dlatego, że się nigdy nie kochał. Ale i dziś, choć się kochał w Irenie, czuł, że nie był zręczniejszym. A o tę niezręczność swoją, na której tyle cierpiał, obwiniał przeważnie swych kolegów pierwszej młodości. Jakże on ich nienawidził, tych trucicieli, z których niejednych znał jeszcze i widział to w klubie, to w świecie, to u siebie, to na ulicy. Jakże on ich pamiętał, tego adwokata np., należącego dziś do głów antisemickiego obozu, który go w szkołach uczynił Berkiem Judensteinem i codzień niemal nowe o pochodzeniu jego przynosił do klasy anegdoty.

Purpurowy pod wrażeniem tych wspomnień, które się snuły, niby naszyjnik paciorków, drobniejszych od morskiego piasku, powracał co chwila do Ireny.

Gdyby się z nią ożenił, gdyby ją umieścił panią w pałacu Appelsteinów, ją tak kochaną i tak piękną i tak wyniosłą i tak ze światem obytą i tak z światem szlachty i obywatelstwa spokrewnioną.

Wtedyby przecież stąpał śmielej w owem rodzinnem mieście, w swym własnym pałacu, wtedyby już nietylko złoto było łącznikiem między nim a współobywatelami jego kraju, wtedyby pozycya jego nie była pozycyą intruza, której ścierpieć nie mógł, tylko pozycyą naturalną człowieka, obracającego się w tym świecie, do którego związkami krwi, nietylko fortuną należał. Wtedyby przecież się nie obawiał, by syn jego taką przechodził ciernistą szkołę życia, w jaką go niczem nieuzbrojonego puścił poczciwy stary ojciec.

I snuły się cudne obrazy w gorącej wyobraźni Bernarda. Irenę otoczyłby niewidzianym zbytkiem i przepychem. Światby się tłumnie garnął do jego apartamentu, jak do nikogo z finansów. Świat cały nietylko *high-life*, ale ten świat prawdziwy, który bankierom drzwi jeszcze na oścież nie otwierał, który miał odwagę i dość siły charakteru zasad czy tradycyi, bo potrafić sobie odmówić dla nich kieliszka szampana i chwili szału przy dźwiękach orkiestry. Bo taki świat jeszcze istniał w Warszawie, ze swym reprezentantem Ostoją, jak go nazywano, wielkim rabinem arystokracyi. Ale i ten świat czekał tylko pretekstu do fuzyi. Onby mu ten pretekst dał. Przychodziliby do pani Appelstein ze Starżów, dla niej, z powodu niej i przez nią. Jeśli pani Kohn potrafiła dokazać tyle, czegóżby nie dokazała Irena ze Starżów?

Irena?

I bankier zapomniał o zmorach swej namiętnej, tem namiętniejszej, że druzgotanej i szarpanej, poniżanej i gwałconej próżności, by się poddać innym, nie bankierskim lecz wszechludzkim uczuciom.

On się kochał w Irenie, kochał szalenie chyba, skoro tak się do myśli mienia jej za żonę przywiązał, skoro mimo wszystkiego, mimo Korońskiego, który mu po prostu na palce następował, miał odwagę się o nią starać, skoro wreszcie się oświadczył tej królewnie zimy, skoro tak oszalał, że biednemu, zdziecinniałemu ojcu, wyrzucił to, co w sobie przez lat trzydzieści tail i tłumił.

Tak Bernard dumał dniami i nocami od dni sześciu i liczył godziny, które zbliżały go, jeśli wreszcie już niekoniecznie do szczęścia i tryumfu, to do końca okrutnych męczarni niepewności.

Siódmego dnia rano zjawił się u niego Bywalski, którego nie widział od dnia, w którym mu przyniósł odpowiedź Ireny i zachęcił do otuchy i dobrych myśli.

Zjawił się ze zwykłą spokojną pogodą, nieco lisią fizyognomią i przestraszył się Bernarda, pragnącego, by wszyscy doń zbliżający się, a cóż dopiero Bywalski, nosili ślady trawiącej go gorączki.

Appelstein struchlał. Jeśli ten jedyny przyjaciel był tak spokojnym i obojętnym, to czyż mógł on być pomocnym mu pośrednikiem. Gdyby był jednym z buchalterów swojego własnego kantoru, myślał, toby znalazł przyjaciela, któryby sprawę jego wziął do serca i nią się zajął, a zajęcie to odbiłoby się na jego twarzy.

(C. d. n.)

nia i wstępnych studyów najmniej liczy obcych. Z 219.000 cudzoziemców, zamieszkujących stale Paryż, 18.000 zaliczyć trzeba do rzędu kapitalistów. Z tego wnosi sprawozdawca, iż błędnem jest ogólne twierdzenie, jakoby przeważna liczba obcych przybywała do Francyi przejadać tam swe dochody. Zachowanie się obcokrajowców we Francyi jest wogóle spokojne, niemniej przeto w różnych gałęziach przemysłu powstają skargi na ich konkurencyę. Szczególnie ta walka trwa w klasach robotniczych. Włoscy, belgijscy i niemieccy robotnicy, będąc przeważnie bezżennymi, pracują taniej, są wstrzemięźliwsi i robią uszczerbek miejscowym. Spółzawodnictwo skończyć się musi tem, że obcy pracownicy zostaną dziś czy jutro wyrzuceni z fabryk, albowiem w tłumach spostrzegać się daje wielkie rozgoryczenie. Następnie pisze Descubes o niebezpieczeństwie mogącem wyniknąć z takiej liczby obcych, w razie wojny, utrudniać bowiem oni będą obronę krajową. Proponuje tedy opodatkowanie i obcych pracowników i pracodawców ich, co wedle jego mniemania złemu w trzech czwartych zaradzi. Nareszcie wnosi, aby zmniejszyć koszta naturalizacyi, wynoszące dziś około 1200 fr. i pociągnąć wszystkich cudzoziemców stale w kraju mieszkających, do obowiązkowej służby wojskowej.

Fatalne terno. Leopold Gotoseb, majster kunsztu krawieckiego w Wiedniu, na Ottakringu zamieszkały, grał lat kilka na loteryi bez powodzenia, aż nareszcie w lutym br. wygrał terno za 50 ct. Uradowany tem, począł hulać, aż wygraną przehulał, poczem postanowił odebrać sobie życie i zamiar ten doprowadził do skutku onegdaj wieszając się w swem mieszkaniu na haku od lampy.

Dunaj i Sawa przesolone. Z magazynów solnych serbskich, które, podczas gdy Belgrad znajduje się na wysokiej górze, są położone na lewo od przystani rzecznej, na samym dole, powódź uniosła 4 mil. klg soli. Woda szczególniej na Sawie była przez kilka godzin zupełnie słoną.

Na święconem. Dama do nieśmiałego młodzieńca, którego jej właśnie przedstawiono:

— Ach, zdaje mi się, że pana już gdzieś widywałam...

Nieśmiały młodzieniec, który czuje, iż należy mu cośkolwiek odpowiedzieć:

— Bardzo być może, proszę pani. Ja tam często bywam...

Sztuki piękne.

Repertoar teatralny. W niedzielę popołudniu o 1/2 do 4 „Ciepła wdówka" komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego. Wieczór o godzinie 7 „Madame Sans-Gêne" komedya w 4 aktach Wiktoryna Sardou.

* **Kroacki teatr** narodowy wyjeżdża na czerwiec, podczas czeskiej wystawy etnograficznej, z Zagrzebia do Pragi w 30 osób — między temi słynna artystka tragiczna Ružicka-Strozzi — pod przewodem intendanta, p. Miletieza.

Ostatnie wiadomości.

Sobotnia *N. fr. Presse* donosi, że w austryackiej fabryce broni w Steyr i w węgierskiej w Peszcie robią obecnie próby udoskonalenia karabina Mannlichera, mianowicie zastąpienia dzisiejszych łożysk drewnianych innemi lżejszemi, tudzież zastąpienia teraźniejszego mechanizmu repetyerowego innym silniejszym. Jeżeli te próby dadzą pomyślne rezultaty, wówczas zarząd armii zamówi 180.000 karabinów tego nowego systemu na powiększenie zapasów rezerwowych.

Donoszą z Berlina: Niektóre Izby handlowe i korporacye kupieckie z wschodnich prowincyj pruskich wniosły do rządu podanie, aby zaniechano dotychczasowego postępowania z żydami, przybywającymi z Galicyi i Rosyi, a tych, którzy jako handlarze, komisanci, korespondenci itp. w interesie handlu i przemysłu są czynni, wszędzie bez przeszkód dopuszczano. Wedle półurzędowego komunikatu, rząd się zastanowił nad tem podaniem i nie uznał za potrzebne znosić dotychczasowego postępowania (gdzie co do każdego z osobna żyda przybysza władza bada, czy go dopuścić). W interesie handlu i przemysłu będzie rząd wedle możności dopuszczać żydów obcych, wszelako dla unikania niewłaściwości, należy raczej dawać zajęcie swoim niż cudzoziemcom.

Telegramy.

Wiedeń d. 13. kwietnia. Górno-austryacki poseł do Rady państwa Kyrle (liberał) złożył mandat z powodu zatargów, powstałych z kolegami z okazyi niepodpisania telegramu gratulacyjnego posłów górno-austryackich do Bismarka.

Petersburg d. 13. kwietnia. Urzędowo ogłoszony został traktat handlowy i marynarski z Danią, zawarty na podstawie największej faworyzacyi.

Były ambasador niemiecki jen. Werder miał audyencyę u carowej, która go zaprosiła na lato do Krasnego Sioła.

Petersburg d. 13. kwietnia. Profesor Cytowicz, który z polecenia ministra skarbu objeżdżał giełdy warszawską, kijowską, nikołajewską, charkowską i rostowską dla porozumienia się z kołami giełdowemi, przedłożył już projekt reformy giełdowej. Do giełdy mogą należeć wszystkie stany, a nietylko jak dotychczas jedynie pewne zakłady kredytowe i kupcy 1 gildy. Kursa giełdowe będą układane i ogłaszane przez komitet giełdowy z udziałem przedstawiciela Banku państwowego. Ma być zaprowadzony rejestr zawieranych na giełdzie interesów, prowadzony przez notaryusza giełdowego pod odpowiedzialnością komitetu giełdowego. Interes, niezapisany w rejestrze, pozostaje ważnym, ale nie będzie uważany za interes giełdowy. Maklerzem może zostać każdy członek giełdy, jeżeli się zgłosi do komitetu giełdowego. Jeszcze w tym miesiącu ma się zebrać w ministerstwe handlu specyalna komisya dla rozpatrzenia się w projekcie prof. Cytowicza, ułożonym na podstawie wniosków od giełd pochodzących i wypracować projekt ostateczny.

Sofia d. 13. kwietnia. Wskutek przedstawień rządu tureckiego zabroniono polowań w Bułgaryi w trzykilometrowym pasie na granicy od Turcyi. Cała żandarmerya pograniczna, 1.500 ludzi rozmieszczoną została wzdłuż granicy bułgarsko-tureckiej.

Wystawiono tu wieniec, który sobranie zamówiło na grobowiec cara Aleksandra III. Jest to piękne metalowe dzieło artystyczne z napisem: „Carewiczowi wodzowi, carowi monarsze pokoju wdzięczny po wieki naród bułgarski."

Londyn d. 13. kwietnia. Ponawia się tu uporczywie pogłoska, że napierany przez stronnictwo wojenne rząd japoński, zamierza po upływie rozejmu (zawartego do 20. bm.) z całą energią dalej prowadzić wojnę.

Stan zasiewów.

(Koresp. „Gaz. Nar.")

Opólsk d. 12. kwietnia. W okolicy Sokala, **rzepaki** na małej tylko przestrzeni siewane, wyszły z pod śniegu zdrowo.

Pszenice przedstawiają się źle, ale ponieważ korzenie dotychczas są zdrowe, to ciepło podczas epoki krzewienia mogłoby renowować ją zupełnie.

Gorzej jest z **żytem**, które w niższych położeniach stanowczo zepsuć się musiało, tu już i ciepło nie wiele lub nic nie pomoże.

Koniczyny zaczynają się zielenić, chociaż myszy w jesieni podminowały formalnie rolę zasianą koniczyną. Wiemy jednak z doświadczenia, że roślina ta krzewi się z niesłychaną szybkością.

Siejba na pagórkach i glinkach bełzko-sokalskich rozpoczęta. Jednakże przerwa podczas świąt opóźni już i tak niewczesną siejbę.

Wylew Bugu zrządził rolnikom wielką szkodę przez zamulenie łąk, wiele też nawozu wywiezionego w zimie woda zabrała, gdyż wylew był taki, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają, a o 20 centymetrów stan wody był wyższy niż w roku 1877.

Henryk Karczewski.

Stan powietrza. Całą ubiegłą dobę mieliśmy zmienną, opadu nie było.

Barometr stoi w mierze.

Stan barometru zredukowany do poziomu morza był dziś o 12tej godzinie w południe 763·0 mm.

Prognoza na dobę dnia 14 kwietnia br. (od północy do północy). Wiatr będzie co do kierunku północno-zachodni o średniej prędkości około 4·0 m/sek.

Średnia temperatura doby około 6·0°C, niebo będzie przeważnie zachmurzone — a względna wilgotność powietrza będzie około 70%.

Obecny stan pogody nie zmieni się.

Dziś dnia 14. kwietnia: Wielkanoc. — Woskr. Hosp.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę redakcya nie odpowiada.)

Podziękowanie.

Najserdeczniejsze wyrażam podziękowanie: Bóg zapłać wszystkim, którzy raczyli wziąć udział w oddaniu ostatniej posługi mężowi memu Michałowi Wołk Bunikiewiczowi, a w szczególności Przewieleb. ks. proboszczowi Drzewickiemu, Szczepanowi Jasilkowskiemu, kolegom i towarzyszom broni z r. 1863 i pełnomocnikowi dóbr Chodorowskich Wp. Linkowi.

Nadto najczulsze podziękowanie należy się lekarzowi p. Bober, poczmistrzowi panu Kołpaczkiewiczowi i sędziemu Niewilińskiemu, którzy w czasie długiej słabości mego męża otaczali go opieką i radą, jako też okazywali jemu i mnie tyle dobroci i serca, jak już dzisiaj nie często się to zdarza.

Wszystkim jeszcze raz staropolski: Bóg zapłać! *Buniekiewiczowa.*

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.